

Małgorzata Litwinowicz-Droździel

## MESJASZE, TOWAR EKSPORTOWY

To się w polskiej mickiewiczologii stało już dość dawno temu. „Moim marzeniem jest opisać emigrację jako życie” – deklaruje Alina Witkowska we wstępie swojej pracy *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków*<sup>1</sup>, po raz pierwszy wydanej w 1997, dając trafną a zapoznaną od razu diagnozę. Doświadczenie emigracyjne Polaków – twierdzi – nie jest doświadczeniem wzniosłym, a jeśli jego mitologia jest heroiczna, to wiele w niej heroizmu przewycięzania nędzy we wszystkich możliwych jej wymiarach: nędzy materialnej, moralnej, emocjonalnej, intelektualnej. Przy czym dodać od razu można, że przewycięzanie owo miało tryb jedynie nie-

dokonany. Polskie doświadczenie „emigracji jako życia” zmieniało się zresztą często w doświadczenie „życia jako emigracji”, doświadczenie życia w wiecznym zawieszaniu, oczekiwaniu na wezwanie, pobudkę i złoty róg, o którym wiemy od wieszczki tutaj nieomawianego, że go mieliśmy, ale niewiele i nieładnie z niego zostało.

Niewielka książka Witkowskiej przeniosła akcent z historii idei / historii literatury na historie indywidualne, przedmiotem uwagi czyniła nie projekt wspólnoty narodowej, ale jej doświadczenie; skupiała się na osobach, nie na tekstach. Wizerunek polskiego doświadczenia emigracyjnego, który się stamtąd wyłonił, nie nadawał się specjalnie do lektur szkolnych ani na ściany narodowych muzeów; przerwane biografie, zapomnienie, pitawał, wspólnota starości. Trudno o bardziej dotkliwą demaskację mitu, zderzenie narodowych orłów. Dokonany przez badaczkę przegląd zasobów heroizmu jest przeglądem form nędzy,

Autorka wyklada w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Wydała między innymi książkę *O starożytnościach litewskich* (2008). Jest współzałożycielką i członkinią Stowarzyszenia Grupa Studnia O.

<sup>1</sup> Alina Witkowska *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1997.

etnograficzne wizyty wśród byłych powstańców listopadowych – wizytacją upadku. Lektura tej książki napęła smutkiem i poczuciem obcości wobec tych dziwnych ludzi, wobec kultury samotnych mężczyzn, skłóconych, rozżalonych na świat cały, niezdolnych do tworzenia więzi, rozpustnych, tonących w karcianych długach i alkoholu. Pisała Witkowska:

W początkach emigracji trwanie przy tożsamości żołnierskiej należało do oczywistości nawet wówczas, gdy ktoś podejmował pracę lub naukę. Domeyko wspominał w pamiętnikach, że w kręgu emigrantów paryskich przyjął się zwyczaj rozpoczynania dnia od musztry, potem dopiero każdy szedł do swoich zajęć. Co dnia o świcie potwierdzali, że są wojskiem, i to była ich deklaracja tożsamości.<sup>2</sup>

Śniące wojsko. Topos ten mocno się zapisał w polskiej literaturze i wyobraźni: Jedynie, o czym marzę, to piękna śmierć, mówi Rzecki, wypinając chudą pierś. Rozczulający, po bohaterskiej śmierci, stoi na warcie, bo nikt go z niej nie zwolnił, pójdziem przecież, gdy zabrmi złoty róg, aż nastąpi „rok ów”, coś się wydarzy. Tak jak na obrazie Władysława Maleckiego *Patrol powstańczy* (1883). Szóstka jeźdźców spokojnie zbliża się w stronę zamykającego perspektywę dworu. Konie idą spokojnie, stępa. Droga jest wąska i piaszczysta, rozgrzana popołudniowym słońcem, ale i ocieniona drzewami – to ta chwila w ciągu dnia, kiedy ziemia zaczyna oddawać zgromadzone w ciągu dnia ciepło. Oddech popołudnia, „dzień się przełamuje”, choć jeszcze jasno, przyjemność powrotu. Przyjemność przygody, „kiedy szliśmy na”, to nic, że „rok ów” minął, Somosierra może się jeszcze wydarzyć. Somosierra, bo tam nie ma żadnego „później”, nic nie może być tak mocne jak chwila „złączenia się z burzą”. Somosierra jest lepsza niż rollercoaster, niż diabelski młyn. Adrenalina, jak wiemy – uzależnia, po uniesieniu chwili „kiedy szliśmy na” trudno wrócić do nudnego, normalnego życia.

<sup>2</sup> Tamże, s. 117.

## 1.

Emigracja jako życie jest stanem zawieszenia. Czas przestaje płynąć, rzeczy, które miały być wielkie, nie spełniły się. Powinny nastąpić zdarzenia przełomowe, ale nie następują. Czas nie płynie, a jednak starość nadchodzi i jeśli jednak coś się wydarzy i róg zagrzmie – może być dla nas za późno. To nie *Dziady* ani nie Konrad żaden; to raczej jak wieczne nieprzyjście Godota. Jedźmy, nikt nie woła. Wołajmy, nikt nie nadjedzie.

„*Dziady* Wodzińskiego mają zracjonalizować romantyzm w polskim wydaniu, który przez dziesiątki lat służył jako narzędzie do manipulacji i wytwarzał nowe mity o Polakach jako narodzie ciemnym” – czytamy o nowym spektaklu Teatru Polskiego w Bydgoszczy<sup>3</sup>. No więc wiemy już: po pierwsze, że istnieje polski potwór ujednolicony, a imię jego jest „romantyzm” i w nim są wszystkie nasze narodowe winy. „Gazeta Wyborcza” recenzuje:

Ale bardziej prawdopodobne, że wieszcz przyjdzie z kultury, której nie znamy i nie rozumiemy. Wodziński dołącza do Pawła Demirskiego i Moniki Strzępki czy Jana Klaty, którzy wielokrotnie wskazywali już w swoich spektaklach na grupy, które zbyt łatwo się lekceważy. Pokazywali ich siłę, jej zakorzenioną u wieszczy symbolikę, kryjący się w nich potencjał buntu.<sup>4</sup>

„Wieszcz rodzi się pod Pałacem”, barierki, tłum za barierkami, Konrad-Gustaw jako szaman obozowiska koczowników niweczających zdobycze cywilizacji, (re-) aktualizacja „Udało się jednak stworzyć wrażenie, że dzieją się rzeczy, które muszą wkrótce wymknąć się spod kontroli.”

Naprawdę? Czytam i oczom nie wierzę. Nie w to, co Paweł Wodziński pokazuje w swoim nowym spektaklu, który zasługuje na oddzielny tekst, ale w to, jak

<sup>3</sup> [http://www.culture.pl/pl/culture/artykuly/wy\\_in\\_mickiewicz\\_dziady\\_performance\\_wodzin-ski\\_2011](http://www.culture.pl/pl/culture/artykuly/wy_in_mickiewicz_dziady_performance_wodzin-ski_2011).

<sup>4</sup> Joanna Derkaczew *Wieszcz rodzi się pod Pałacem*, „Gazeta Wyborcza” z 25 kwietnia 2011.

się o nim pisze. Miałby on może być i racjonalizacją, a może i bardziej egzorcyzowaniem duszy narodowej, by wydobyla się z tego ciemnego oddechu romantyzmu, albo przypomnieniem o tym, jak bardzo niebezpieczne to dziedzictwo. A może i o tym, że wszystko, co się dzieje w polskim życiu społecznym i nosi znamiona nieracjonalności, nurtu sprzecznego z duchem modernizacji, odwołuje się do wcielenia narodu jako wspólnoty naturalnej czy – bardziej ogólnie – traktuje wspólnotę, niekoniecznie narodową, jako całość naturalną. To wszystko, co jest niezbyt ładne i czyste, wstydlive, potrzone jako polska specyfika-egzotyka (jak na przykład celebracje zmarłych – publicznych i prywatnych – czy rozmaite odmiany tak zwanej tradycyjnej religijności), antysemityzm i wszelkie formy ksenofobii, konserwatyzm obyczajowy pomieszany z maksymalnym konformizmem, rozmaite formy niechęci Polaka do ludzi – wszystko to ma mieć źródło w polskim romantyzmie, w szczególności w Wielkiej Emigracji, której twarzą (czy, jak się dzisiaj mówi, ambasadorem) jest Adam Mickiewicz, in personam oraz jego pisma, życie, a także zwłoki.

Mickiewicz we współczesnej kulturze polskiej jest metonimią: Mickiewicz to wszystkie teksty literackie, które napisał, a także te, których nie napisał, oraz przyczyiny jego zamilknięcia. Mickiewicz to biografia – jego samego, a także wszystkich osób istotnie z nim związanych. Czasem jest metonimią polskiej Wielkiej Emigracji, czasem – w najobszerniejszej wersji – po prostu całą polską literaturą romantyczną oraz tym, co się z nią potem stało.

Jest z tym Mickiewiczem-metonimią dziwnie: to coś niepojmowalnego, mrocznego i w swej istocie niebezpiecznego. Mickiewicz, ten demoniczny, miałby w jakiś sposób zjadać wszystkich, którzy go dotkną: wysysać ich duszę, manipulować, omamiać, oszołamiać, a śmieszyć jakby mniej. I czy-

nić to w jakiś sposób tajemny, więc tym bardziej niebezpieczny. Ma to wprawdzie dobrą stronę: wiemy, kto jest winien. Cena za ten komfort jest może i wysoka, ale czyż nie warto jej zapłacić za jasność?

Często nie wiadomo jednak, jaka jest zawartość zawołania „polska tradycja romantyczna”. Bardzo poręczne wydaje się tutaj proste rozróżnienie dokonane przez Marcina Króla w niewielkiej książce *Romantyzm: piekło i niebo Polaków: tradycja romantyczna i „postromantyzm usługowy”* to dwie różne rzeczywistości.<sup>5</sup> „Mesjanizm estradowy” – by posłużyć się sformułowaniem Stanisława Brzozowskiego – nie bierze się raczej z czytania Mickiewicza, tylko z jego uporczywego i aktywnego nieczytania, któremu towarzyszy nieustanne cytowanie homogenatu z jego utworów. „Martwy się nie ocuci, twarda wieczności brama” – autor *Lilij* nie przewidział, jak się zdaje, jak bardzo ta fraza odnosić się będzie do niego samego, i że trudno będzie zaradzić szkolnym akademiom i pocztówkom, tej przedziwnej sławie pośmiertnej – poezji śmiało łączonej z dymem pożarów oraz wizerunkom samego poety, które stały się częścią narodowego relikwiarium.

Nie wiemy dziś, czy to kłębowisko jest do rozplątania. Czy w jego rozwikływaniu chodziłoby o powrót do lat trzydziestych i czterdziestych dziewiętnastego stulecia, do tego, co się wtedy mówiło i pisało, a także myślało i śniło (o ile mamy do tego dostęp), zwłaszcza w Paryżu? O ciekawe, ciekawskie nawet przyglądanie się temu niesamowitemu splecieniu literatury i życia? Niekoniecznie jedynie literatury polskiej i życia polskiego. Czy szłoby o kwestię „co się stało z wielką literaturą romantyczną”? Która to kwestia nie wiem, czy w ogóle jest ciekawa; być może nic się z nią nie stało – bo Polacy jej po prostu nigdy nie przeczytali. „Polska nie jest pawiem ani papugą

<sup>5</sup> Zob. Marcin Król *Romantyzm – piekło i niebo Polaków*, Fundacja Res Publica, Warszawa 1998.

narodów. Potrzeba nam nie romantycznego poczucia misji, ale tego, co ukrywa się pod skromnym słowem: normalność”<sup>6</sup> – powiedział premier Donald Tusk siedem miesięcy przed wyborami.

To jedna z wielu publicznych wypowiedzi przywoływanych jako dowód żywotności (niebezpiecznego) dziedzictwa romantycznego. Może jest to jednak dowód tego, jak pokrętne były losy tego dziedzictwa? Juliusz Słowacki mówi przecież to samo: Polska nie jest ani państwem, ani papugą (w tych bowiem rolach już się spełniła), teraz jest służebnicą cudzą. Nie chodzi o polonistyczną satysfakcję, „premier nie zna cytatu” – dwójka, przepraszam, jedynka (możemy dołożyć do tego jeszcze występy z zakresu ortografii w wykonaniu prezydenta). Chodzi o to, że nie znajdziemy w literaturze romantycznej obrazu Polski jako kolorowego ptaka Europy, i jeśli w czymś się miała polskość polistopadowa spełniać, to w wiodącym ku narodowemu zmartwychwstaniu męczeństwie. Choć nawet i to nie jest przecież jednoznaczne, i oskarżane o wszystko „romantyczne poczucie misji” nie sprowadza się do idei mesjanistycznej, samej z siebie zresztą też złożonej. Nie da się tego łatwo skwitować. Być może w czasach wskaźników, testów, sondaży, rezultatów mierzalnych i społeczeństwa algorytmów – będzie to coraz większy kłopot. Odpowiedź A, B czy C?

Duchu święty przeszłości narodowej polskiej! Orędowniku pierwszy usiłowań lechickich synów! Puklerzu i przywódcu Piastowego plemienia! [...] Gwiazdo i pochodnio odradzającej się Polski! Stróżu sumienia polskiego w rozproszeniu jej synów, wśród lodów Syberii, w ciemnych więzieniach Moskwy, Austrii i Prus; synów, którzy wśród tyłu katowni i przed widokiem śmierci męczeńskiej nie zapominali świętego

<sup>6</sup> Cytat z internetowego wydania „Gazety Wyborczej” z 19 marca 2011; [http://wyborcza.pl/1,76842,9282508,Plan\\_premiera\\_dla\\_Polski\\_Trzecia\\_fala\\_nowoczesnosci.html](http://wyborcza.pl/1,76842,9282508,Plan_premiera_dla_Polski_Trzecia_fala_nowoczesnosci.html). Tę wypowiedź cytowały wszystkie dzienniki ogólnopolskie.

ognia, jaki w duszach ich od kolebki zamieszkał, i w miarę oporu i prześladowania wzrastał!”<sup>7</sup>

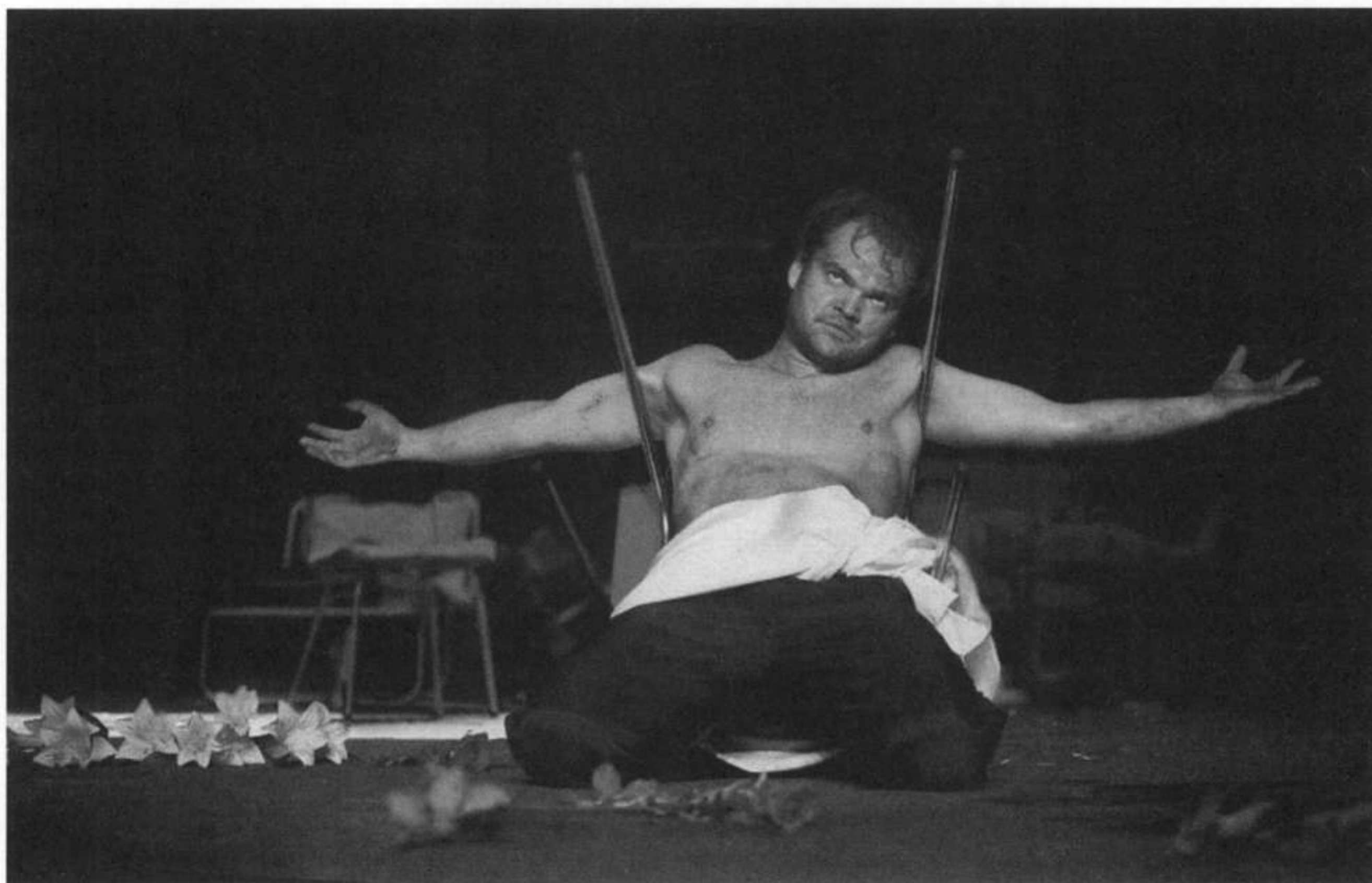
– nie napisał tego Adam Mickiewicz, ale Michał Chodźko, w książeczce o partyzantach Zaliwskiego – Michale Wołłowiczu i Arturze Zawiszy. Książeczka ta wydana została w Paryżu w roku 1859 w serii Żywotów Narodowych, obok żywota Konarskiego, Kościuszki, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Klementyny z Tańskich Hoffmannowej. Dużo miejsca poświęca Chodźko prośbom do Ducha Świętego o różne łaski dla duszy pielgrzymiej:

I zawiedz ją do wszechnicy nauk, gdzie nad księgami pochylone blade czoła współbraci jej piją spragnioną duszą skarby wszechwiedzy, bogacą umysł na służbę narodowych celów, aby, gdy obciążeni drogiemi skarbami czucia i wiedzy, podobni do wielbłąda karawany, idąc po stromych drogach przekonań swoich upadną od znużenia, albo strzałą zdradzieckich najeźdźców przeszyci polegą, aby z żywota ich piły spragnione pokolenia wodę życia, i aby odrodzeni, w zbrojnym orszaku narodowego poświęcenia, jako mściciele stanęli.

Przytaczam te dwa przydługie cytaty z początkowych stron książeczki Chodźki (zakładając, być może niesłusznie, że twórczość ta nie jest rozlegle znana), by przypomnieć na tym jednym przykładzie, czym była patriotyczna logoreja w połowie stulecia. Przygnębiający obraz wszechnicy, w której siedzą ludzie o bladych czołach, nie wiem, skąd się bierze – wszechnica Arcypromienistego była inna, a w jego przykazaniach nie mówi się bynajmniej o bladym czole, raczej o całowaniu i picciu mleka. W procesie przemian literatury romantycznej nastąpił kompletny zanik właściwego tej literaturze poczucia humoru, a śmiech wobec śmierci w „romantyzmie usługowym” zastąpiony został przez ponurą powagę wobec życia.

Retoryka ta nie ustała, i – racja – ożywała wielokrotnie w ciągu ostatnich stu

<sup>7</sup> Michał Chodźko *Artur Zawisza i Michał Wołłowicz*, Paryż 1859, s. 3; kolejny cytat – s. 5.



*Dziady. Mickiewicz. Performance, Teatr Polski, Bydgoszcz 2011, reż. Paweł Wodziński.*

pięćdziesięciu lat. Skłamałabym, mówiąc, że Mickiewicz nie ma z tym nic wspólnego: fragment z *Ody do młodości* jest przecież mottem książeczki Chodźki: „Dalej z posad bryło świata / Nowemi cię pchniemy tory / a spleśniałej zbywszy kory / Ziemię przypomnisz lata”. Sądzę jednak, że wykorzystanie tego fragmentu jako motto dziełka o tej retoryce jest bardzo dobrą ilustracją reguły, którą najprostszymi słowami sformułowałabym tak: „To, co się pisze, nie zawsze jest tym, co zostanie przeczytane”. By nie rozwijać dalej tej oczywistości, przypomnę, że do tego samego fragmentu *Ody do młodości* nawiązuje znak firmowy Warszawskiego Związku Stowarzyszeń Spożywczych (1911) przedstawiający grupę ludzi popychających kulę ziemską. Nie jest to bynajmniej moja (nad)interpretacja, tylko deklaracja samowiedzy, którą znajdujemy na współczesnej stronie Krajowego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Spożywców Społem. Czyżby Adam Mickiewicz, prócz tego, że zatruł dusze Polaków rojeniami mesjanistycznymi, był też prekursorem idei spółdzielczości? A być

może jedno i drugie jest prawdą w podobnym stopniu, może to nie w wielkiej literaturze romantycznej znajdują się ciemne źródła polskiej duszy narodowej i ma ona innych niż Mickiewicz patronów?

W tym pomieszaniu i zagmatwaniu czytałam *Mesjaszy* Györgyego Spiró z ulgą, z podobnym uczuciem tłumaczyłam *Mistrasa*, czyli *Mistrza* Mariusa Ivaškevičiusa. Wrażenie towarzyszące wcześniej lekturom Witkowskiej, Adama Sikory *Posłanników słowa* i opowieści *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Sprawy Bożej* Rutkowskiego – powróciło przy okazji Litwina i Węgra. Najbardziej kolokwialnie określiłabym to wrażenie jako „coś odpuszcza”: znikła pewien rodzaj napięcia związanego ze zbliżaniem się do ludzi i tekstów z pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia, tych najróżniejszych „mickiewiczów”. Nie będzie doznania numinosum, ale i okazuje się, że od czytania tej literatury nic się człowiekowi straszniejszego nie dzieje. Na czym polega owo „coś odpuszcza”? Jak jest możliwa inna opowieść o polskim romantyzmie – taka, która chroni nas zarówno przed głupotą monokausalne-

go, redukcjonistycznego myślenia, jak i przed radykalnym gestem „zapomnijmy to wszystko jak najszybciej”. I jeszcze żeby ta opowieść pozwoliła na ocalenie poezji jako źródła doświadczenia, które trudno doprawdy na cokolwiek innego zamienić. Dla mnie to ma szczególne znaczenie – mówię Mickiewicza właściwie co dzień i z wielką przyjemnością, to część mówienia domowego. I bardzo się z tego powodu niepokoję – czy tak w ogóle można i czy słuchające tego dzieci przypadkiem nie ucierpią. Bo może je spycham w jakiś ciemny odmet, z którego nigdy już się nie wydobędą: „każdego śmiałka jezioro zagarnie do nieprzebranych czeluści”. Gdybym wiedziała, że ten Mickiewicz nie szkodzi, byłabym spokojniejsza.

Co jest nowego w tych nowych opowieściach?

## 2.

Wiele rzeczy stałoby się prostszych, gdyby źródłem wszystkich naszych niewątpliwych narodowych chorób był prorok z Antoszwinc, szaleństwo na wykładach w Collège de France i dwunastu mężczyzn w czarnych ubraniach z krzyżami na plecach ujrzanymi przez Mickiewicza we śnie. „Noo... Ładnie, tylko do Krzyżaka jakiś podobny jesteś, Adalku” – powiedziałyby Celina, która – przynajmniej w dramacie Ivaškevičiusa – w szaleństwie zyskuje metodę. Obchodzą ją dziecięce buty i lekcje gimnastyki, a najbardziej – jak zrobić, żeby wreszcie zamiast kołdunów wyszły ravioli.

Celina jest – przynajmniej w dramacie Ivaškevičiusa – tą, która widzi w jakiś sposób przenikliwy. Utyłana w sprawy domowe, kolejne cięższe, kolejne dzieci, nie ośmieszona ani się nie pochyła, lecz odczuwa bezład i nędzę swego własnego położenia, a zarazem położenia Adama. Wie także z własnych doświadczeń, jak nieuchronne i bolesne są te ludzkie drgnienia, które każą się nam wyrwać ku czemuś, co miało być wielkie, a okazuje się niczym. I że jeśli nie ma się żadnych środków ochronnych i ro-

bi się to bez znieczulenia, musi się to skończyć utratą zmysłów i złączeniem rozumu. I że można się zabezpieczać ojczyzną, Bogiem i historią w połączeniu z honorem (zestaw de luxe), ale wtedy zmysły tracą inni i trwają w stanie złączenia i uniesienia jednocześnie, pewni, że posiadli prawdę. Prawdę przeciw światu. Tertium non datur, przynajmniej nie w tej opowieści. Te dwa możliwe rozwiązania – zginąć indywidualnie lub uczynić z tego sprawę zbiorową – rozłożone są bardzo dokładnie między mężczyzn a kobiety, o czym później.

Wracając do tych dwunastu z krzyżami na plecach, którzy wędrują po Rzymie. Czy są naprawdę tym, co wkrótce może się wymknąć spod kontroli? Wiemy: skutki chodzenia dwunastu za jednym są różne. Zdarzało się, zwłaszcza w „wielkim stuleciu Polaków”, że ludzie usilnie tę historię przywoływali, w przeświadczeniu, że powtarzanie gestów uczyni Przyjście prawdziwym. To dwór czyni króla.

Nie było związku między bahaizmem i to-wianizmem, jeśli nie liczyć ich równoczesnego startu. Lecz i mormonizm właśnie wtedy się zaczął, i komunizm, który jest czystą religią, co najwyżej Zbawiciel w nim to nie jeden człowiek, tylko klasa robotnicza. Nie musi istnieć bezpośredni związek między podobnymi ruchami, nie musi paru zdyszanych posłańców spotkać się gdzieś po drodze, w karczmie czy oazie, by z radością stwierdzić zbieżność poglądów, rozbiec się potem po świecie i heroicznie go zgwałcić. Z powodzeniem wystarczy, że w podobnych okolicznościach ludzie podobnie myślą. Zmartwychwstańcy nie podejrzewali, że nadeszła pora pseudomesjaszy, sekt i quasi-religii, że żyją już w epoce idei narodowych i rewolucyj<sup>8</sup>

– pisze György Spiró w swej powieści (może lepsza byłaby tu nazwa „esej fabularny”) *Mesjasze*. Więc niestety – co może wszyscy wiemy, ale przypominamy stosunkowo rzadko – nie było to wielkie stulecie Polaków, w każdym razie nie tylko ich. Znowu Spiró: „Ukryty Imam, Brama, czyli

<sup>8</sup> György Spiró *Mesjasze*, przełożyła Elżbieta Cygielska, W.A.B., Warszawa 2009, s. 239-240.

Bab, który w istocie nazywał się Sajid al-Mohammad, pojawił się w Szirazie w tym samym roku, w którym Mickiewicz w Paryżu wynalazł instytucję Siódemek i wspólną spowiedź”.

Później jeszcze, w 1872 roku, Mary Ann Girling, zwana Matką, otrzymała stygmaty i założyła w Wielkiej Brytanii wspólnotę, składającą się w znakomitej większości z kobiet i dzieci. Była nieśmiertelna, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że w 1886 roku umarła, co wprowadziło pewne pomieszanie między jej wyznawców, przynajmniej tych małej wiary. Ruchy religijne i ich charyzmatyczni przywódcy w dziewiętnastym stuleciu nie ograniczają się do światka polskiej Wielkiej Emigracji. Szczęście, jeśli przedsięwzięcia te kończyły się pisaniem manifestów czy maszerowaniem po ulicach Wiecznego Miasta w specjalnie uszytych kostiumach. Gorzej, jeśli zgładzeniem proroka (Bab, założyciel bahaizmu, został rozstrzelany w Tabrizie w roku 1850), swoistym aktem wiary ludu polskiego wobec posłannika, który przynosi wieść o nastaniu nowego królestwa. Los proroka nie jest taki łatwy, i ciężki to kawałek chleba, który niestety czasem przemienia się w ciało.

Co nie unieważnia pytania o to, czy tych dwunastu z trzynastym chodzących po Rzymie w swoich zbawieńczych uniformach stanowiło zagrożenie dla postępu, czy to oni są figurą tego, co wymyka się spod kontroli? Jeśli wierzą, że pierwszy czy też trzynasty zaprowadzi ich tam, gdzie ich głos zostanie usłyszany – są biedni. Podobnie jak biedny jest ten Mickiewicz, jak powiada Antoni Ostrowski<sup>9</sup>. Nie będzie żadnych narodzin wspólnoty, gdyż nie ma ani wspólnego miejsca, ani czasu, ani zmarłych, ani żon, ani dzieci. I nie ruszy w żadnym kierunku, gdyż jedyną formą jej istnienia jest Powstanie, co może i zawiera w sobie ja-

kiś element wertykalności, by nie powiedzieć uwznioślenia, ale – co nie mniej ważne – zawiera w sobie także element unieruchomienia, zastygnięcia w geście. Po opuszczeniu ramion pozostaje tylko ich wzruszenie – moment wzniosłości ustępuje. Jak w rycinie *Bitwa* ze znanego cyklu Grotgera *Polonia*. Grupa znieruchomiałych mężczyzn – jeden wznosi oczy ku niebu, drugi patrzy w bezmierną dal, jeden siedzi na ziemi, nie wiadomo – z powodu rany czy z powodu bezsilności i smutku tak silnego, że zbija z nóg. Udział w bitwie musi chyba wyglądać inaczej, a ten Grotgerowski obraz jest znakomitą wizualizacją tego specyficznego chyba polskiego połączenia: przegranej faktycznej połączonej ze zwycięstwem moralnym (dość trudna to do wykonania figura akrobatyczna „upadek z podniesionym czołem”). To są nasi narodowi bogowie? Ich się tak boimy, krzycząc „Mickiewicza należałoby zapomnieć”? Nie budzą nawet złości. Budzą politowanie. W lepszym razie – współczucie. Dawno przestali być groźni, a zabieg przebijania ich osinowym kołkiem naprawdę wydaje się niepotrzebnym okrucieństwem w stosunku do tych, którzy nie są upiorami.

Nie z każdego punktu to widać, ale sądzę, że akurat Spiró i Ivaškevičius znajdują jakąś szczególnie dobrą dla tej opowieści perspektywę: dystans, który czasem bywa współczujący, a wynika – jak sądzę – z podjęcia ryzyka opowiedzenia, „jak było”. Dystans nie jest chłodny, ale nie wynika ze strachu.

Jak się to osiąga? Z pewnością nie bez znaczenia jest to, że historię tych trudnych do pojęcia wypadków (Ivaškevičius uprzedza przecież czytelnika swego dramatu – jego kanwą są zdarzenia; rzeczywistość przerosła fikcję, nikt by czegoś takiego nie wymyślił) opowiadają postaci, których relację z polską tradycją romantyczną nazwałabym „nieobowiązkowym romansem”. Wiem, romanse z zasady nie bywają obowiązkowe, ale związek emocjonalny Polaków z polską tradycją romantyczną przypomina właśnie „romans obowiązkowy”.

<sup>9</sup> Zob. Antoni Ostrowski *Ten biedny Mickiewicz. Zapiski z początków towiańszczyzny*, z rękopisu odczytała, skomentowała i wstępem opatrzyła Elżbieta Z. Wichrowska, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006.



*Dziady. Mickiewicz. Performance, Teatr Polski, Bydgoszcz 2011, reż. Paweł Wodziński.*

Obcość ma oczywiście swoje odmiany, i tę wariantywność punktów widzenia odnajdujemy w węgierskiej powieści i litewskim dramacie.

„Moim dzielnym Polakom także życzę jak najlepiej”<sup>10</sup> – mówi w powieści *Rien ne va plus* Andrzeja Barta portret włoskiego arystokraty, przierzucany z rąk do rąk, i świadkujący wielu ważnym zdarzeniom z dziejów publicznych i prywatnych, które pozostają zresztą w nierozdzielnej splocie. Portret, przedmiot upodmiotowiony, wygłasza komentarze na swoją miarę: łączą one życiowe doświadczenia, wykształcenie arystokraty, dyplomatyczną ostrożność, pełną rezerwy życzliwość i wielką, choć niepozabawioną ironii wyrozumiałość wobec ludzkich namiętności. Tego rodzaju „obserwatorem uczestniczącym” nie jest chyba żadna z postaci powieści i dramatu. Najbliżej byłoby pewnie paryskie towarzystwo z *Mistrza* – George Sand i Balzac. Ona, usiłująca odnaleźć w systemie pojęć

człowieka nowoczesnego te, które pozwolą nazwać doświadczenie spotkania z tymi egzotycznymi ludźmi z głębin Imperium Rosyjskiego. Balzac, dla którego rzeczy istnieją, o ile są narracją i mogą stać się „romanem” – powieścią-romanssem; a kształtowanie sjużetu jest przecież także sposobem porządkowania rzeczywistości, nie najgorszym zresztą. George Sand widzi litewskie zabobony, Balzac – powieść, Chopin – tragiczną biografię, Margaret Fuller – reportaż, który zainteresuje amerykańskich czytelników. Z pewnością powiedzenie, że to gatunek kształtuje opowieść, nie jest niczym nowym. Jednak w odniesieniu do „mickiewiczów” takich prób sprawdzenia, co mogłoby wynikać z gier gatunkowych, nie zdarzyło się zbyt wiele, część z nich przywołałam powyżej. Taką próbą jest też powieść Pawła Goźlińskiego *Jul*.

Czytając Spiró i Ivaškevičiusa zadawałam sobie pytanie – jak to się stało, że nikt do tej pory na to nie wpadł? I niczym Grotgerowski żołnierz opuszczam ręce: nie wiem. W czytaniu wydaje się to tak jasne, tak klarowne nazwanie rzeczy, które są tuż

<sup>10</sup> Andrzej Bart *Rien ne va plus*, W.A.B., Warszawa 2010, s. 461.



pod powierzchnią, na wyciągnięcie ręki. Cóż, może jest w tym coś z efektu wypowiedzenia na głos tajemnicy – powszechnie wiadomej, ale do tej pory nienazwanej. Dopiero opowiedziana – staje się ludzka, arcy-ludzka. Wszyscy bohaterowie Ivaškevičiūsa sami zmagają się z własną tożsamością, są w nieustannym procesie jej formowania; doświadczają zmienności, i wobec tej zmienności się opowiadają. A zdarzeniami w tej migotliwej rzeczywistości są: pojawienie się Towiańskiego i Ksawery, historie/histerie w Collège de France, paryskie dzieje Mickiewicza i jego rodziny, ale te zdarzenia w żadnym razie nie określają całej rzeczywistości ich życia. „Zagraniczni” bohaterowie *Mistrza* są w nieustannym ruchu, w chaosie nawet; czasy są niepewne, przyszłość niejasna, teraźniejszość zmienna, ale paradoksalnie może ten chaos nowoczesności chroni przez absolutyzacją objawienia z Litwy. Jednoznaczny i jasny w swych poglądach jest Pierre Leroux, i – jak wiemy – ten brak umysłowej elastyczności i czujności kończy się dla niego źle: konfrontacją, kompromitacją i cierpieniem.

Kto jeszcze przybył do Wilna w ślad za Towiańskim, to jego wyznawca Gerszon Ram, główny bohater tej opowieści. Kto nie dotarł w lekturze do tego miejsca, niech ma do siebie pretensje, że o tym nie wie. Nieczęsto się zdarza, by wstęp stanowił jedną szóstą fabuły, podobnie jak nieczęsto główny bohater znika w ostatniej jednej trzeciej, by pojawić się dopiero na końcu książki. Taka teraz moda. Komu się nie podoba, niech dalej nie czyta<sup>11</sup>

– rzeczywiście, główny bohater *Mesjaszy* zostaje ujawniony na sto trzydziestej szóstej stronie powieści. Ram, urodzony jako Gerszon, ochrzczony jako Andrzej, Żyd z Wilna, był w Kole Sprawy Bożej jednym z tych, którym – jak pisze Krzysztof Rutkowski – jakiś „obrzęd odprawił Towiański i jaką pokazał sztukę, która wyzwoliła w tych ludziach – tak różnych – siły do podjęcia trudu wewnętrznej przebudowy,

rozpoczętej ochoczo i radośnie, a w wypadku Adama Mickiewicza zakończonej tak smutno”<sup>12</sup>. Czy to ma znaczenie dla tego, cośmy u Spiró przeczytali wcześniej: dla otwierającej powieść relacji z marszu polskich oddziałów przez Niemcy i Francję, dla relacji porucznika Potrykowskiego o uniesieniach wszystkich możliwych rodzajów, po których następowały poniżenia?

Ram jest tym, który podążał za Towiańskim „pełen synowskiego uwielbienia i pokory”. Ram jest tym, który bardzo się stara i wyteża wszystkie swe życiowe siły dla Sprawy Bożej. Widzi to, co powinien – na przykład, że ducha Juliusza Słowackiego opanowały demony. Ale też, że brata Juliusza boli brzuch, że jest czerwony na twarzy i puszcza wiatry; że ma cienkie palce, nad którymi on, Ram, odprawia żałobę. Idzie do Rotszylda, do papieża i do Jerozolimy; gdy ma iść – idzie; gdy ma czekać – czeka. Jest idealnie posłuszny, ale nic nie umyka jego uwadze. Zwłaszcza to, że rzecz, w której uczestniczy, jest ludzka, a to, co ma być wzniosłe, miesza się z najgorszymi ludzkimi przywarami; że sos ten własny, na który składają się proroctwa, plotki, obmowy, spowiedzi, kłótnie, listy, kłamstwa, oszczerstwa, wyrazy uwielbienia, wykłady i czytanie literatury, i wiele jeszcze innych praktyk, raczej jest niezdrowy i ciężkostrawny.

Ram kocha Mistrza i Brata Adama, i ze wszystkich sił stara się przecież być wierny, to jego jest opowieść o Mesjaszach – dziwna, straszna i mała jednocześnie, o zbawianiu narodu (narodów) i kołnierzach pokrytych łupieżem. To perspektywa kogoś, kto jest w samym środku wszystkiego, jest uczestnikiem, ale i ofiarą polskiego narodowego sekciarstwa. Spiró każe nam słuchać jego opowieści – obcego, ofiary. Opowieści, która ma własną ciemną tajemnicę – Ram jest przekonany o tym, że popełnił zbrodnię ojcobójstwa. Ta historia

<sup>11</sup> Spiró, op.cit., s. 136.

<sup>12</sup> Krzysztof Rutkowski *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Sprawy Bożej*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1999, s. 45.

jest jednak składna, jest historią osobistego doświadczenia – zatrucia, uzależnienia i wyjścia z tego stanu. Wyjścia, które jak wiemy, nie jest możliwe, a więc żalu za wzniosłością, żalu za chwilą „kiedy szliśmy na”. Wielkiego uniesienia czy wielkiej miłości nie da się być może nigdy na dobre opłakać. Nie da się też ich przekazać – to mamy przecież w wygłosie powieści, gdy zainteresowanie słuchającej Rama służącej-kochanki stopniowo ustępuje miejsca znudzeniu.

W powieści Spiró pojawia się jeszcze kilka takich osobistych, szczególnych perspektyw, prawd indywidualnego doświadczenia, którym możemy się dziwić czy współczuć, ale nie możemy ich weryfikować – doświadczenie i związane z nim uczucia nie podlegają przecież falsyfikacji.

Spiró przywołuje w powieści sekretarza Mickiewicza, Armanda Lévy, zakochanego w jego córce, a przede wszystkim w nim samym. Pisze Spiró: „I chodził na wykłady Micheleta, Quineta i Mickiewicza, i boską cześć oddawał profesorskiej trójce”<sup>13</sup>. Mickiewicz zaś dla Armanda przybył z północnej Azji; „Egzotyka jest ważną częścią składową czaru; Armand został oczarowany wykładami Poety. Jego młode męskie ciało żałowało, że prorok północnej Azji nie jest kobietą”. To perspektywa błądzącego po ulicach Paryża w głodowych zwidach Goszczyńskiego, wyniesionego na ołtarze Sprawy Bożej Pilchowskiego, Józefa Służalskiego czy osobnego, ironicznego Słowackiego.

I kobiety – obce wielokrotnie. Obce wobec Sprawy (czymkolwiek Sprawa była, one nigdy jej przecież nie pojmy), obce w kulturze samotnych mężczyzn, obce z powodu swoich nie-zawsze-dobrze-funkcjonujących ciał i już zwłaszcza źle funkcjonujących i nieprzewidywalnych umysłów. Niektóre – cudzoziemki, obce także w sensie dosłownym. To jest wielki temat w tych nowych opowieściach pełnych iro-

nii i współczucia o męskich przygodach Polaków: i u Rutkowskiego, i u Spiró, i u Ivaškevičiusa. Co z tego wynika, widać wtedy, gdy czytamy te historie równoległe z *Julem* Goźlińskiego, który kulturę samotnych mężczyzn doprowadza do esencjonalizacji, perspektywa inności jakkolwiek rozumianej jest przecież w tej powieści nieobecna, a w najlepszym razie – wąta.

Jaki ten milion, co za miliony kocha i cierpi katusze: oszalała Celina, której mleko rzuciło się na umysł, a co potem umarła w pokoju i z pewną nawet wesołością. Maria Szymanowska, o której uderzeniu mówiło się w całej Europie. Abiszag, co miała rozgrzać króla Dawida. Ksawera Deybel, co uwodzi i wystawia na pokuszenia męską polską cnotę, i tak mocno wątpliwą, a potem dziecko swoje grzebie bez całunu i znika w odmęcie nędzy i niepamięci. Milijon, Karolina Maxówna, brzydka, a w każdym razie niezbyt piękna, w odrażającym czepku, z wąskimi zaciśniętymi ustami. Towiańska apokalipsy, karząca i nagradzająca; ona i jej siostra Anna, co za mąż wyjść chciała za Mistrza, a wyszła za Ferdynanda, i odtąd pozostało jej schnąć, choć z drugiej strony – litości! – jak można było pożądać Andrzeja Towiańskiego? Milijon, żona Szypowskiego, co miała być żoną rzymską, nawet więcej niż żoną cezara, a była zwykłą dziewczynką i poszła z tym Pietkiewiczem, co mąż go potem truł, a ona siebie – siarką z zapalek. Jak heroiczna, cierpliwa i pracochłonna bywa nasza śmierć, dłubana z zapalek, szydełkowana, inna niż śmierć w okopach Woli, a Grottger nie miałby do niej cierpliwości, bo tyle tej trucizny, co pod paznokciami, kto by malował? Milijon, Gorecka Maria, co bała się umarłych, widziała śmierć i upadek ciała, Oleszkiewicza i Wańkowicza, co gnił. Milijon czy też milijona, Medea-Matka Polka, co dzieci swoje wysyła na pewną śmierć. Śmierć, na krowie jadąca, co do drzwi stuka, wojenko wojenko, i Panna Święta, z matki obcej, co w Ostrej świeci Bramie...

<sup>13</sup> Spiró, op.cit., s. 681-682.

Braterstwo albo śmierć. Siostrzeństwo albo... Nie wiem, ale jeśli wieszcz rodzi się pod Pałacem, a dziady odprawia tłum stojący za czerwono-białą barierką, to może uda się znaleźć gest, który wyrasta z innego doświadczenia *r o m a n t y c z - n o ś c i*? Doświadczenia jej nie jako uniesienia wspólnotowego, lecz jako samotności, przeżywanej w sposób skrajny; być może nawet destrukcyjny, a być może taki, który prowadzi do spełnienia gestu indywidualnego, osobnego – takiego jak gest Ewy Partum, dokonującej Samoidentyfikacji pod Pałacem Prezydenckim?<sup>14</sup> Nie chodzi tutaj nawet o poszukiwanie „kobiecego punktu widzenia”, tylko o poszukiwanie tego, co czyni człowieka autorem własnego życia. W nowym otwarciu ten

głos i gest należy do obcych – do Żydów, do cudzoziemców, do kobiet.

Nie ma sprawy narodowej, są tylko indywidualne fascynacje; czasem uwiedzenia, czasem osobiste wybory. Wspólnota nie ma punktu widzenia, wspólnota nie konstruuje opowieści, może ją jedynie celebrować, przepowiadać. Obcość jest uznaniem własnej odmienności, odrębności, odwagą gestu ustanowienia własnej podmiotowości, wyzwoleniem się ze strachu, że podmiotowość ta krucha rozpadnie się poza wspólnotą. Odmiennosc indywidualnych narracji nie złoży się w jednolity obraz, uzgodnienie punktów widzenia jest niemożliwe. Ale czy uznanie tego nie jest początkiem nowej opowieści o nas samych? Jej biegu nie znamy, póki jej nie rozpoczniemy.



<sup>14</sup> *Samoidentyfikacja* Ewy Partum to cykl fotokolaży z 1980 roku; w zdjęcia wykonane w przestrzeni Warszawy artystka „wkleiła” swoje nagie zdjęcia. Jeden z kolaży „rozgrywa się” pod dzisiejszym Pałacem Prezydenckim, ówczesną siedzibą Prezydium Rady Państwa. Przywołuję tę pracę, ponieważ traktuję ją jako radykalny gest ustanawiający kobiecą podmiotowość w opozycji do tożsamości wspólnotowej. Dyskusje o „wspólnocie samotnych mężczyzn” można prowadzić równoległe z dyskusją o „samotności wspólnych kobiet” – o rozpaczliwych na ogół strategiach budowania własnej odrębności, ustanawiania podmiotowości.